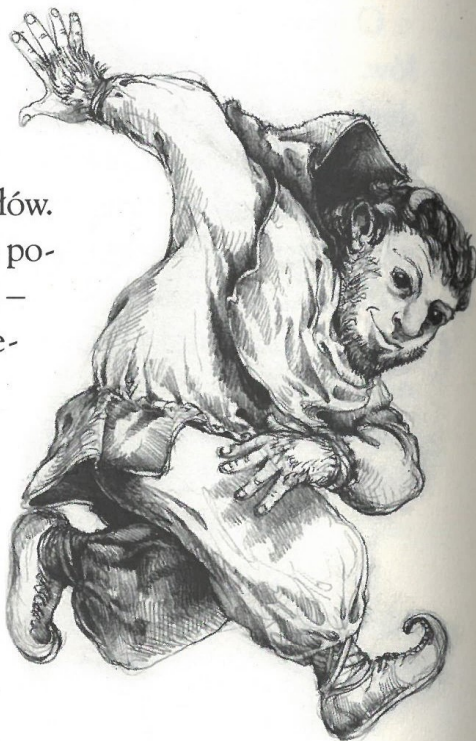


ROZDZIAŁ XIX

BITWA NAD ZĘBEM

Lelek martwił się mgłą. Martwił się tym, jak szybko dotarła na Pojezierze i co ze sobą niosła. Martwił się cuchnącym wiatrem, choć dzięki niemu na jednym żaglu wymykali się obsadzonemu wiosłarzami łodziom dverehafneńskich karłów.

„Kiedy zstępuje mgła, nie powinno być wiatru” – myślał. – „Tak samo jak z bezchmurnego nieba nie powinno być burzy, która łamie drzewa i wywraca statki. Czy to była zapowiedź? Zła wróżba? Wszystko się rozchwierutało, świat wypadł z równowagi...”.



Podczas gdy wąż gnał zygakiem przez jezioro, leszy miał chwilę na pospieszną wymianę informacji z towarzyszami. Dowiedział się, kim są Dotta i Ćwing, bardziej jednak ciekawiło go, co karły wiedzą o niezwykłych wydarzeniach, które zaszły w Starym Lesie. Ostatecznie przybyli na Pojezierze w poszukiwaniu informacji.

„Biały szkwał...” – przypomniał sobie Olszybor. – „Tak nazwał to Ćwing. Biały szkwał zawsze zwiastuje wielkie nieszczęścia i wielkie zmiany. A zatem to nie pierwszy raz, kiedy dzieje się coś takiego. Ale nadal nic nie wiemy o gwiazdach...”.

Syn Sigvatra wykonał kolejny gwałtowny zwrot. Żagiel węża furknął krótko, po czym znowu się nadał.

– Bogowie patrzą na nas łaskawym okiem – powiedział ksiączę. – Ta mgła to błogosławieństwo.

Lelek ledwo zdążył pomyśleć, że jego nowy znajomy w złą godzinę wypowiada takie słowa, gdy łodzią nagle szarpnęło. To Ćwing naparł na wiosło sterowe. Kilkoro ze zgromadzonych na pokładzie przyjaciół zleciało z ławek. Mojmir zaklął w głos, rąbnawszy zranionym kolaniem o burtę.

– Te, skrzat, co robisz?! – zawołał. – Zatęskniło ci się nagle za Dufnallem, chcesz zawrócić?

Ale karzeł dostrzegł w ruchu wody coś, czego inni nie widzieli. Odruchowym zwrotem uratował węża przed zderzeniem, bo oto z mlecznobiałego oparu – niby duchy – wyłoniło się kilka łodzi pod pełnymi żaglami. Cięły toń jeziora w niemal absolutnej ciszy; pomgłać tłumiła charakterystyczny syk kadłubów.

– Jakim cudem nagle znaleźli się przed nami? – zapytała Modraszka.

Na dziobie idącego na szpicy okrętu pojawił się masywny karzeł o imponującej brodzie zawiniętej w wymyślne koła i warkocze. Zawołał coś wielkim głosem.

– To nie hird Dufnalla. – Na twarzy księcia pojawił się wyraz napięcia. – To mój ojciec. Blokuje nam drogę do Psiego Przesmyku. Trzymajcie się!

Ćwing szarpnął ponownie ster. Kilkoma zręcznymi ruchami popuścił żagiel z jednej strony, napiął z drugiej. I wnet sigisborski wąż wystrzelił do przodu. Mknął z taką prędkością, że aż kładł się na prawą burtę. Wszyscy odruchowo chcieli przeskoczyć na lewą, lecz powstrzymał ich głos sternika wołającego ponad hukiem wzburzonej teraz wody:

– Siedźcie, gdzie jesteście! Jeśli wam nie strach, wychylcie się mocniej! Tylko się trzymajcie! Trzymajcie się!

Lelek wparł się mocniej w burtę. Na karku czuł rozbryzgi piany, w uszach brzęczała gadanina jeziora. A jednak – podobnie jak tamtego pierwszego dnia na tratwie – nie bał się ani trochę. Pęd dawał poczucie siły.

Z mgły wyłaniały się kolejne łodzie. Wśród ich załóg poniosły się krzyki.

– Dlaczego uciekamy przed twoim ojcem? – zawołał leszy do Ćwinga.

Księżę nie odpowiedział. Szykował się do kolejnego manewru. Poluźnił żagiel. Puszczona nieuważnie lina smaгнаła go w policzek, ale nawet się nie skrzywił. Już parł znowu na wiosło sterowe.

Wtem ponad podniesione głosy i szum ciętej dziobami wody wyrwał się nowy dźwięk: klaskanie wiosła. Opar wypłynął ogromnego bojowego węża z Dverehafnu. Masywny, a jednocześnie zaskakująco szybki statek mignął tylko przed oczami stłoczonych ze sobą przyjaciół. W ciemno-

ści – niczym ryk zranionego bawołu – rozległ się wściekły okrzyk Dufnalla.

– Dognali nas! – ostrzegł Lelek.

Ćwing mruknął coś w odpowiedzi.

W mroku, wśród skłębionego oparu, zabrzmiał huk, trzask. Podniosły się przerażone i gniewne głosy.

– Będzie katastrofa – powiedział leszy. – Pozabijają się nawzajem.

– Wiem – syknął księżę. – Ojciec blokuje nam Psi Przesmyk, Dufnall leżące za Dverehafnem ujście Wężowicy. Zostaje nam tylko jedno.

Sigisborski wąż ponownie zmienił kierunek. W ostatniej chwili. Otarł się jeszcze burtą o pędzącą z naprzeciwka długą łódź. Ćwingowi omal nie wydarło wiosła z ręki. Stęknął, zaparł się nogami.

– Musimy uderzyć do brzegu! – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Nie uda się! – odparł Olszybor, widząc przed dziobem kolejną masywną czarną sylwetkę.

Syn Sigvatra rzucił wiosło na pokład, chwycił po jednej linie w obie dłonie, wrzasnął, kiedy szorstkie sploty wcięły mu się w skórę. Sterował samym tylko żaglem. Przywiał z prawej strony. Wąż położył się na lewą burtę, pchany w stronę brzegu.

– Na lewo! – wrzasnął księżę. – Wszyscy na lewo! Wiatr się odwrócił!

Smukłą łódź podrzuciło. Na chwilę oderwała się od jeziora. Praktycznie przefrunęła obok większego statku.

– Patrz! – krzyknął Lelek.

Czuł, że wicher podnosi się nieomal tak silny jak podczas białego szkwału, ale nie to przykuło jego uwagę. Dve-

rehafneński korab, który właśnie mijali, przechylił się dziwnie. Ciemność wkoło niego cofnęła się, kadłub ogarnęła żółtawa poświata. Zdawała się bić spod wody.

– Tam! Tam! – zawołał Mojmir.

Obejrzeni się wszyscy. Olszybor uświadomił sobie, że jeszcze przed chwilą ledwo widział wysokiego przyjaciela, a teraz jest w stanie bez trudu stwierdzić, co tamten wskazuje. Oddech ugrzązł mu w piersi. Wśród rozproszonego, zgniłozółtego światła dostrzegał blisko trzydzieści długich łodzi. Otaczający je opar lśnił jak dym podświetlony luną pożarów. Wiatr kręcił dverehafneńskimi i sigiborskimi okrętami, wypychał je na siebie, nieubłagane spierał w stronę brzegu. Jezioro kipiało.

Wśród narastającego zamieszania rozbrzmiał dźwięk przypominający trzask pioruna. To żagiel jednego z ciężkich korabi rozdarł się na dwoje. Coś – cień jakiś dziwnie ostry, kostropaty – zjechało wzdłuż masztu. Gdy wylądowało na pokładzie, z tuzina gardeł wyrwał się wrzask przerażenia.

Z kipieli wylaniały się ramiona, głowy. Więcej cieni wynurzało się z wód jeziora, pięło po burtach, wciągało w czarną toń wiosła i żeglarzy.

– Co to? – wydyszał leszy.

– Draugi! – odpowiedział Ćwing.

– Co?

– Utopce!

„To się nie zgadza” – pomyślał Lelek. – „Utopce nie zbierają się w wielkie bandy. Napadają na pojedyncze zbłąkane dusze. O, dureń ze mnie! Przecież to oczywiste. Mgła! Mgła sprowadziła na nie szal, tak samo jak na strzygi w Środkowych Kniejach”.

Rozważania Olszybora przerwał ostrzegawczy okrzyk sigiborskiego księcia.

– Bacność!

Wąż przyszorował o dno. Zaszemrały tataraki. Kil otarł się o przybrzeżny piach. Nagle coś z głuchym łupnięciem uderzyło w burtę. Zahamowali gwałtownie. Leszy stracił równowagę, upadł. A gdy uniósł się ponownie na nogi, to coś było już na pokładzie, pełzło w ich stronę – koszmarnie zdeformowana istota śmierzająca szlamem i śmiercią.

Fafkel i Mojmir bez wahania chwycili za miecze, skoczyli naprzód. Ostrza przy akompaniamencie odrażających młasnien porąbały oślisze ciało.

– Na brzeg! – zakomenderował Ćwing, dobywając topór zza pasa i odwiązując od ławki torbę podróżną.

Migiem pozbierawszy przygotowane przez księcia zapasy, towarzysze wyskoczyli z osiadłego na mieliźnie węża. Na prawo i lewo od nich lądowały kolejne łodzie – nie mieli pojęcia: zniesione wiatrem czy poprowadzone przez ogarniętych zgrozą sterników. Widzieli jednak, że wszędzie trwa walka. Ciała karłów i utopców z pluskiem padały we wzburzone, przeświecone niezwykle blaskiem wody.

– Kochani, czas ucieka, czas nie czeka – ponaglił chłopak z Wierzb.

– Nie możemy tak po prostu ich zostawić – zaproponowała Modraszka. – Spójrzcie, co się dzieje!

Jakby w odpowiedzi na słowa dziewczyny z mgły wyłonił się największy spośród dverehafneńskich okrętów. Jakaś siła upiorna kręciła nim niczym zabawką z sosnowej kory. Na oczach gromadki przyjaciół zarył dziobem w piach, wyskoczył w górę i runął wprost na opuszczoną przez nich łupinę.